

PIOTR PRUSS

ur. 1911; Chełm



Miejsce i czas wydarzeń	Chełm, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Chełm, dwudziestolecie międzywojenne, ulica Lubelska, Żydzi, stosunki polsko-żydowskie, matka, Żyd Waksman, profesje żydowskie, rabin, maca, mięso, koszerność, wygląd Żydów, małżeństwa mieszane

Żydzi w przedwojennym Chełmie

W okresie kiedy byłem dzieckiem, widziałem to, co się działo na ulicy, patrzyłem okiem dziecka na żydowskie rozmowy, patrzyłem okiem dziecka na piątki, kiedy w piątki przed szabasem, przed świętem żydowskim Żydzi wychodzili na ulicę i ulice były [pełne], nawet ta Lubelska ulica, były oba chodniki zajęte przez nich, przez jakieś pół godziny oni spacerowali, a później szli do domu i ulice były puste. No, było w ich jakimś rytuale, czy ja wiem, w zwyczajach czy przepisach, nie wiem, co przyszedł piątek, musieli wyjść na ulicę i masowo parę razy, powiedzmy, przejść dany odcinek. Pamiętam, jak niedaleko ode mnie był tak zwany sad Panowa, tak się nazywał, bo to rosyjskiego właściciela sad, w którym była kręgielnia i ja przez płot patrzyłem na to, co się tam dzieje, jak tam rzucano tymi kulami i te figurki się przewracały, to często tym się interesowałem. No, był niedaleko sad, więc pamiętam to, że sad [był] wynajęty czy wykupiony na okres owocowania przez Żyda, że ja z kolegą przeskoczyliśmy do tego sadu na jabłka, że on nas pognął, że ja uciekałem, że się zawiesiłem na płocie na majtkach, że on mnie nie dopadł, to z tych czasów pamiętam to. Jakichś specjalnych przeżyć z lat dziecińczych, którymi można było się chwalić, to ja nie mam.

Pamiętam na Lwowskiej ulicy taką rzecz, że przychodził do nas każdego piątku do domu Żyd, taki nie szewc to był, ja to nazywam „szewczyna”, taki patałach, marnota taka, ale biedota obok tego i on każdego tygodnia, w każdy piątek przychodził o godzinie 11 do nas do domu i mama przygotowywała dwa, trzy kartofle w mundurkach i śledzia, on przychodził głodny, rzecz jasna, zjadł te dwa, trzy ziemniaki, zjadł tego śledzia i niejednokrotnie ja patrzyłem z boku, no i tak sobie pomyślałem, a później mamie powiedziałem, że ja bym chętnie zjadł tego śledzia, a mama nie ma dla mnie, tylko dla niego. „A ty zjadłeś śniadanie, on pewnie nie jadł i on jest biedny, a jak przyszedł, to jest głodny, to trzeba go nakarmić”. Ja właśnie w tym duchu jestem

wychowany w domu i później żadnych sprzeciwów [nie zgłaszałem], to przez dwa czy trzy lata tak było. Ten Waksman przychodził na to śniadanie, ale mieszkanie nie było skanalizowane w ogóle, bo Chełm nie był skanalizowany, ta kamienica na Lubelskiej była jedyna, zresztą żydowska własność, skanalizowana, to pamiętam taką wesołą rzecz, kiedy mama powiada do niego: „Panie Waksman, jakby pan przyniósł wiadro wody ze studni”, z 40, 50 metrów ode mnie studnia była publiczna, to pamiętam jak dzisiaj, on powiedział: „No, ja pani powiem taką rzecz, jakby ta woda była w kranie tutaj, to ja by tę wodę pani przyniósł”, a tak to nie pójdzie, ale na to śniadanie, na tego śledzia przychodził. Przychodził i zdejmował czapkę, a jak siadał do stołu i brał się do tego śledzia, to czapkę nakładał, nie wolno mu było bez czapki jeść, bo się pytałem jego, dlaczego on w czapce je, odpowiedział, że u nich taki jest zwyczaj i nie raziło mnie to już później. To trwało dwa, trzy lata chyba jakies. To był taki szewc, który naprawę robił, dzisiaj ludzie nie znają tych rzeczy, co to znaczy łatkę przykleić do buta, co to znaczy podzelować, bo tego się dzisiaj nie robi, a wtedy buty trzeba było zelować, trzeba było przyszyć łatkę, tyle potrafił zrobić ten właśnie szewc, ale fachowcy byli prawdziwi, oni mieli swoje sklepy, pracownie, to materialnie stali dobrze.

Jak mieszkałem na Lwowskiej, to przy Pocztowej była piekarnia żydowska, Wertch miał, Żyd, i w tej piekarni myśmy kupowali chleb, mnie wysyłano do piekarni, no a jak mówiłem, była materialna bieda, to ten chleb kupowaliśmy na kartkę, dawało mu się kartkę na bochenek czy dwa bochenki chleba, on tę kartkę schował i przy pierwszym każdego miesiąca regulowało się należność, więc żyło się, jak się to mówiło, na kredyt, nie wszyscy, ale w moim domu materialna bieda była, to sobie tę biedę przypominam niestety. No, później nieco się poprawiło, bo siostra zaczęła pracować w starostwie w Chełmie, więc coś tam zarabiała, to już pomagała domowi.

Na Lubelskiej Erlich był jakiś, Erlich, rodzina Pinkelsteinów, kto tam jeszcze, nie pamiętam. Przeważnie Żydzi zajmowali się handlem. Ja mieszkałem w oficynie, a przy ulicy mieszkał Zylberman, lekarz pediatra, Żyd. Oni się przede wszystkim [zajmowali] handlem, przede wszystkim przemysłem, przede wszystkim bankami, przede wszystkim [byli] adwokatami, przede wszystkim lekarzami. Był nawet lekarz Żyd, Fuchs się bodaj nazywał, jeden z najlepszych lekarzy w Chełmie, a było ich tam, wtedy jak ja pamiętam, za moich czasów, z siedmiu, może ośmiu, więc Żydzi się zajmowali wolnymi zawodami. Do wojska byli brani, służyli w wojsku, a jakże, ale wysługiwali się, oficerów w wojsku żydowskim nie było, nie pamiętam, żeby byli, więc przemysł, handel, wolne zawody, jak mówię – bankowiec, biuralista, ktoś, kto prowadził księgowość, lekarz, adwokat, sędzią nie mógł być Żyd, to ustawiona była sprawa, a w tych wolnych zawodach to oni celowali. Tak że oni byli bardziej przedsiębiorczy od nas, moim zdaniem.

Była żydowska szkoła w Chełmie, tam było kilkoro nauczycieli i nauczycielek, Zilberman bodaj. Natomiast w tych naszych szkołach, a siedem szkół powszechnych było, to Żydów nauczycieli nie było. W szkołach średnich, w seminariach i gimnazjum,

nauczycieli Żydów nie było, podobno był jakiś w gimnazjum ogólnokształcącym, matematyki uczył ktoś tam, tego nie pamiętam. Pamiętam taką rzecz, że nie przez cały rok po ukończeniu seminarium pracowałem w szkole właśnie żydowskiej i uczyłem języka polskiego.

W synagodze nie byłem, ale widziałem parękroć razy, jak oni szli z rabinem odpowiednio ubranym, w takim dużym kapeluszu o dużym rondzie, białych pończochach, czarnym habicie, widziałem ich pod bożnicą, ale w bożnicy nie byłem. Z zewnątrz była brama, furtka, pamiętam. Był świecznik nad drzwiami wykuty i był jakiś napis, mówiący o tym, że to jest bożnica. W środku nie byłem, bo mnie nie wpuszczali, ale drzwi wejściowe były inne, były daleko większe i jakoś okazalsze, no i ten świecznik pięcioramienny.

Poza tym tu z tymi Żydziakami, co miałem [po sąsiedzku], to się bawiliśmy normalnie, jak dzieci. Mieszkania [mieli] normalne, to zależało od zamożności, rzecz jasna, bo, powiedzmy, ten lekarz, u którego raz byłem, to meble [miał lepsze], zresztą urządzenie mieszkań przed wojną, a dzisiaj diametralnie jest inne, no ale zawsze tam krzesło, stół, ławka, łóżko w każdym domu były, tak że niewiele to się różniło, tylko było daleko prymitywniejsze od urządzeń dzisiejszych. Dziś, powiedzmy, ktoś najbiedniejszy jest lepiej urządzony od takiego przedwojennego robotnika. Takie były czasy.

O macy to były historie wyssane z palca, jak ktoś mówił, że macę pieczono przy użyciu iluś tam kropli krwi chrześcijanina, co było absolutnie nieprawdą. Maca jest podobna do naszego opłatka, tylko proporcje mąki i wody są inne. Jadłem normalnie, u nich świąt wielkanocnych bez macy nie obchodzono.

Nie wolno im było, tym starozakonnym, [każdego mięsa] jeść, bo ci postępowi jak wchodzili do restauracji, to wszystko jedno, jedli taką samą kiełbasę jak i my, szynkę jak i my, natomiast starozakonnym nie wolno było, więc oni, na przykład jeśli idzie o mięso, kupowali te cieliczki, to jest już nie cielątko, a jeszcze nie krowa, oni się na tym wyznawali, ile ta cieliczka ma lat i taką kupowali, i to wolno było im jeść, krowy już nie, no a o świni to w ogóle nie było mowy. I oni później handlowali, jeśli idzie o mięso, mięso wołowe, to mieli jatki, w których całe połacie krów, cieląt [sprzedawali], tam się szło i od razu ciął z całości to mięso. Natomiast wędliniarnie nasze były w rękach naszych, polskich.

Ta inteligencja żydowska niczym się nie różniła [od ludności polskiej], natomiast ten plebs, to tak, bo to przeważnie handlarze, to oni chodzili w takich kitlach, tak jak nasza sutanna u księdza, coś takiego, i w czapeczkach byli, bo galicyjscy Żydzi to w kapeluszach chodzili, a nasi takie [mieli] czapeczki małe z malutkim rondkiem. No a rabin w kapeluszu był, jakieś suknie miał, miał krótkie spodnie, widziałem go raz czy dwa razy, i długie białe pończochy czy skarpety, i czarne pantofle. Kobiety [żydowskie] mało się różniły [od polskich], z tym że w układach przedwojennych kobieta wiejska odróżniała się od kobiety miejskiej, bo dzisiaj się nie odróżnia. W czasach przedwojennych od razu było widać, że to jest kobieta wiejska, bo ona jest w

chustce albo w chusteczce, ona jest w długiej spódnicy. Żydówki niewiele się różniły od naszych miejskich kobiet, no, różniły się wyglądem, bo przeważnie od razu można było poznać, że to jest Żydówka. Były bardzo ładne Żydówki, bardzo ładne były Żydówki, tylko one we wczesnym dość wieku traciły ten swój urok, wcześniej niż nasze dziewczęta. W seminarium żeńskim myśmy mieli czy studniówkę, czy raz do roku był taki bal, inaczej nie wolno było [tam pójść], cała szkoła szła i przychodziło seminarium żeńskie do nas, do męskiego na jakąś tam uroczystość od 19 czy od 20 do godziny 24. Dwunasta biła, koniec, po balu, żaden alkohol, żadne piwo, żadne wino, żadna kawa, nic. Nauczyciel jeden, drugi był, to pamiętam, tańczyłem z kilkoma Żydówkami z tego seminarium żeńskiego, bardzo ładne, pamiętam, bardzo ładne były.

Były nawet małżeństwa [mieszane]. Znam takie małżeństwo, lekarz weterynarii, Kok się nazywał, ożenił się z katoliczką, z Polką. A znam taki przykład z kolei – w Chełmie stały dwa pułki wojska, VII Pułk Piechoty Legionów i II Pułk Artylerii Ciężkiej i oficer artylerii ciężkiej, po podchorążówce, podporucznik, zakochał się w Żydówce i spotykał się z nią, to wiem z plotek naszych takich szkolnych koleżanek, kolegów. Spotykał się z nią gdzieś tam w jakichś lokalach i nie wiem, czym się to skończyło, bo żenić mu się nie wolno było.

Data i miejsce nagrania	2009-04-28, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"